



Wsenne niedzielne popołudnie obcy mężczyzna w długim ciemnym płaszczu rozejrzał się po wysadzonej drzewami ulicy. Stał przed jednym z domów. Nie zaparkował nigdzie samochodu, nie przyjechał też taksówką. Żaden z sąsiadów nie widział, żeby szedł chodnikiem. Po prostu się pojawił, tak jakby wyszedł spomiędzy cieni.

Podszedł do drzwi i uniósł pięść, żeby zastukać.

Wewnątrz domu, w dużym pokoju, siedziała Jude zajądająca się ociekającymi keczupem, podgrzanymi uprzednio w mikrofalówce paluszkami rybnymi. Jej siostra bliźniaczka, Taryn, z kciukiem w ustach drzemała na wersalce, zwinięta w kłębek wokół koca. Buzię miała poplamioną ponczem owocowym. Siedząca w drugim końcu wersalki ich starsza siostra Vivienne gapiała się na ekran telewizora; jej dziwne, kocie źrenice podążały za myszką z animowanego filmu, która umykała przed animowanym koczorem. Vivienne zaśmiała się, kiedy myszka już, już miała zostać pożarta.

Vivi była inna od innych starszych sióstr, ale ponieważ siedmioletnie Jude i Taryn były identyczne, miały takie same zmierzwiene brązowe

włosy oraz twarzą w kształcie serca, to i one różniły się od pozostałych dzieci. Oczy Vivi oraz porośnięte delikatnym puszkim czubki jej uszu nie dziwiły Jude bardziej niż fakt, że sama jest lustrzanym odbiciem drugiej osoby.

Czasami zwracała uwagę na to, że dzieciaki trzymają się z daleka od Vivi, i słyszała, jak ich rodzice mówią o niej przyciszonymi, zatroskanymi głosami, ale Jude nie sądziła, by miało to jakieś istotne znaczenie. Wiadomo, dorośli zawsze czymś się przejmują i bezustannie mówią półgłosem.

Taryn ziewnęła i wyciągnęła się jak długa, położyła głowę na kolanach Vivi.

Na zewnątrz świeciło słońce, które rozpałało asfalt. Kosiarki do trawy wyły w najlepsze, dzieci pluskały się w ogrodowych basenach. Tatuś był w przybudówce, gdzie miał kuźnię. Mama była w kuchni i smażyła kotlety. Było nudno. Było dobrze.

Rozległo się stukanie i Jude pobiegła, żeby otworzyć. Miała nadzieję, że to któraś z dziewczyn mieszkających na tej samej ulicy, która chciałaby w coś pograć albo zaprosić ją na po kolacji, żeby popływać.

Za drzwiami stał wysoki mężczyzna. Spoglądał na nią z góry. Pomimo upału miał na sobie pelerynę z brązowej skóry, a srebrzyste okucia butów zabrzęczały, gdy przestąpił przez próg. Jude spojrzała w jego mroczną twarz i zadrżała.

– Mamo! – zawołała. – Maaaamo! Ktoś przyszedł.

Matka wyszła z kuchni, ocierając mokre ręce o dżinsy. Na widok mężczyzny pobladła.

– Idź do swojego pokoju – nakazała Jude surowym głosem. – Natychmiast!

– Czyje to dziecko? – spytał mężczyzna, wskazując ją palcem. Mówił z dziwnym akcentem. – Twoje? Jego?

– Niczyje. – Mama nawet nie spojrzała w stronę Jude. – To niczyje dziecko.

Nieprawda. Jude i Taryn były niesamowicie podobne do taty. Wszyscy to mówili. Postąpiła kilka kroków w stronę schodów, ale nie chciała być sama w pokoju. Vivi – pomyślała. – Vivi będzie wiedzieć, kim jest ten wysoki facet. Vivi będzie wiedziała, co robić.

Jednak Jude nie mogła się zdecydować, żeby postąpić choćby krok dalej.

– Widziałem wiele rzeczy niemożliwych – odezwał się mężczyzna. – Widziałem żołądz bez dębu. Widziałem iskrę bez ognia. Jednak czegoś takiego jeszcze nie widziałem: martwej kobiety, która żyje. Dziecka, które przyszło na świat znikąd.

Mama nie wiedziała, co powiedzieć. Była strasznie spięta, to było widać. Jude chciała wziąć ją za rękę i uścisnąć, ale nie miała odwagi.

– Nie wierzyłem, kiedy Balekin mi powiedział, że cię tu znajdę – mówił mężczyzna łagodniejszym tonem. – Zwęglone kości kobiety ziemskiego rodu oraz jej nienarodzonego dziecięcia w zgłiszczach mojego domu wyglądały przekonująco. Czy wiesz, jak to jest, wrócić po bitwie i znaleźć zwłoki swojej żony, a wraz z nią trupa jedyne go potomka? Przekonać się, że całe życie obróciło się w popiół?

Mama potrząsnęła głową, ale nie odpowiadając na jego słowa, raczej jakby próbując się z nich otrząsnąć.

Postąpił krok w jej stronę, ona się o krok cofnęła. Ten człowiek miał coś z nogą. Poruszał się sztywno, jakby go bolała. Przedtem Jude widziała go pod światło, ale teraz, w przedpokoju, dostrzegła dziwny, zielonkawy odcień jego skóry, a także to, że dolne zęby nie mieściły mu się w ustach.

Zauważyła też, że facet ma takie same oczy jak Vivi.

– Nigdy nie byłabym z tobą szczęśliwa – powiedziała mama. – Twój świat nie jest stworzony dla takich ludzi jak ja.

Mężczyzna przyglądał jej się przez dłuższą chwilę.

– Wypowiedziałaś słowa przysięgi – odezwał się wreszcie.

Uniosła dumnie głowę.

– A następnie się ich wyparłam.

Spojrzał na Jude, rysy jego twarzy stwardniały.

– Co warta jest przysięga śmiertelnej kobiety? Chyba właśnie się tego dowiedziałem.

Mama odwróciła się. Jude zorientowała się, że matka ją widzi, dała więc nura do dużego pokoju.

Taryn nadal spała. Telewizor nadal był włączony. Vivienne spojrzała na nią kocimi oczami.

– Kto przyszedł? – spytała. – Słyszałam, że się kłóca.

– Jakiś straszny człowiek – wyrzuciła z siebie Jude. Brakło jej tchu, chociaż przebiegła zaledwie kilka kroków, a jej serce waliło jak oszalałe.

– Mama kazała nam iść na górę.

Pominęła fakt, że mama tylko jej to nakazała. Nie zamierzała iść sama. Vivi westchnęła ciężko, dźwignęła się i potrząsnęła Taryn, żeby ją obudzić. Zaspana bliźniaczka Jude powlokła się za siostrami do przedpokoju.

Kiedy zaczęły wchodzić po wyłożonych chodnikiem stopniach, Jude ujrzała ojca nadbiegającego z ogrodu. W ręce trzymał topór – własnoręcznie wykutą replikę topora, który widział na Islandii w muzeum. Nie było nic dziwnego w tym, że niósł topór. Wraz z kilkoma przyjaciółmi interesował się starą bronią i spędzał mnóstwo czasu, sporządzając jej kopie, ciągle też opowiadał o „kulturze materialnej” i szkicował fantastyczne klingi. Dziwne było jednak to, jak ten topór trzymał, zupełnie jakby zamierzał...

Ojciec zamachnął się toporem i zadał cios wymierzony w nieznanego.

Nigdy dotąd nie podniósł ręki na Jude czy jej siostry, nawet kiedy porządnie nabroili. Muchy by nie skrzywdził. Po prostu nie był do tego zdolny.

A jednak. Jednak.

Żeleźce nie ugodziło wysokiego mężczyzny, utkwilo w drewnianej framudze drzwi.

Mężczyzna wydobył spod skórzanego płaszcza zakrzywione ostrze. Miecz. Zupełnie jak w komiksie. Tatuś usiłował jeszcze wyrwać siekiere z framugi, ale mężczyzna wbił już miecz w jego brzuch i pchnął do góry. Rozległ się dźwięk jakby trzaskających patyków i zwierzęce wycie. Tatuś upadł na chodnik w przedpokoju, ten sam, o który mama robiła tyle krzyku, kiedy ktoś naniósł na niego błoto.

Teraz chodnik nasiąkał czerwienią.

Mama wrzasnęła. Jude wrzasnęła. Taryn i Vivi wrzasnęły. Wszyscy wrzeszczeli, tylko nie ten wysoki mężczyzna.

– Chodź tutaj – rozkazał, patrząc groźnie na Vivi.

– Ty... Ty potworze – krzyknęła matka i rzuciła się w stronę kuchni.

– Zabiłeś go!

– Nie uciekaj przede mną – wrzasnął mężczyzna. – Nie po tym, co zrobiłaś. Jeśli znowu spróbujesz uciec, to przysięgam...

Spróbowała. Była już prawie za drzwiami, kiedy ostrze uderzyło w jej plecy. Padła na linoleum, zakrzywionymi palcami ściągając magnesy z lodówki.

W powietrzu gęsto było od zapachu świeżej krwi – wilgotnego, metalicznego. Tak pachniały myjki, za pomocą których mama szorowała patelnię, kiedy coś się na niej przypaliło.

Jude podbiegła do mężczyzny, waliła piąstkami w jego pierś, kopała go po nogach. Nawet się nie bała. Właściwie nie czuła nic.

Mężczyzna nie zwracał na nią uwagi. Przez długą chwilę stał bez ruchu, jakby nie mógł uwierzyć, że zrobił to, co właśnie zrobił. Jakby nawet żałował, że nie da się cofnąć tych ostatnich pięciu minut. Potem przyklęknął na jedno kolano i chwycił Jude za ramię. Przycisnął jej ręce do boków, żeby nie mogła go już tłuc, ale nawet na nią nie spojrzał.

Wpatrywał się w Vivienne.

– Zostałaś mi skradziona – oznajmił. – Przybyłem, żeby zabrać cię do twojego prawdziwego domu w Elfhame pod Wzgórzem. Tam będziesz bogata ponad wszelką miarę. Tam będziesz przebywać pośród podobnych sobie.

– Nie – powiedziała Vivi tym swoim ponurym głosem. – Nigdzie z tobą nie pójdę.

– Jestem twoim ojcem – odparł ostrym głosem, a brzmiało to, jakby trzasnął z bata. – Ty jesteś krew z mojej krwi, będziesz mi posłuszna zarówno w tej, jak i w innych rzeczach.

Nie poruszyła się, zacisnęła tylko usta.

– Ty nie jesteś jej ojcem – wrzasnęła Jude. I co z tego, że miał takie same źrenice, nie zamierzała w to uwierzyć.

Zacisnął mocniej dłonie na jej ramionach, pisnęła cicho, ale wciąż spoglądała mu wyzywająco w oczy. Wygrała wiele pojedynków na spojrzenia.

I to on pierwszy odwrócił wzrok. Spojrzał w stronę Taryn, która kłęczała obok mamy i szlochała, potrząsając ją, jakby próbowała ją obudzić. Mama ani drgnęła. Mama i tatuś nie żyli. Już nigdy się nie poruszą.

– Nienawidzę cię – oświadczyła Vivi głosem tak jadowitym, że jego brzmienie przyprawiło Jude o dreszcz satysfakcji. – Zawsze cię będę nienawidzić. Ślubuję to.

Oblicze mężczyzny było jak z kamienia.

– Mimo to pojedziesz ze mną. Przygotuj te ludzkie istotki. Zabierzcie ze sobą jak najmniej rzeczy. Ruszamy o zmroku.

Vivienne uniosła dumnie głowę.

– Zostaw je w spokoju. Jeżeli musisz, to zabierz mnie, ale je zostaw.

Rzucił Vivi gniewne spojrzenie.

– Chcesz ochronić przede mną swoje siostrzyczki? To powiedz, dokąd mają pójść?

Vivi nie odpowiedziała. Nie mieli dziadków ani żadnej innej rodziny. Przynajmniej żadnej, o której by wiedziała.

Znowu spojrzął na Jude, puścił ją i wstał.

– Są potomstwem mojej żony, więc za nie odpowiadam. Zapewne jestem okrutnikiem, potworem i mordercą, ale nie uchylam się od odpowiedzialności. I ty jako najstarsza również nie powinnaś się od niej uchylać.

Wiele lat później, kiedy Jude opowiadała sobie samej te wydarzenia, nie pamiętała momentu pakowania rzeczy. Trwało to z godzinę, ale najwyraźniej wstrząs sprawił, że zupełnie tego nie odnotowała. Zapewne Vivi znalazła jakieś torby, wsadziła do nich ulubione książeczki z obrazkami dziewczynek i ich ukochane zabawki, zdjęcia i piżamy, i kurtki, i sukienki.

A może Jude sama się spakowała. Nie mogła sobie tego przypomnieć.

Nie umiała sobie wyobrazić, jak mogły to zrobić, podczas gdy na parterze stygły ciała ich rodziców. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak się wtedy czuła, i po latach nie umiała przywołać tego uczucia. Z upływem czasu potworność podwójnego morderstwa zblakła. Wspomnienia tego dnia się zatarły.

Gdy wyszli, ujrzała czarnego konia skubiącego trawę przed domem. Oczy miał wielkie i łagodne. Jude miała ochotę objąć go ramionami za szyję i wtulić mokrą twarz w jedwabistą grzywę. Nim jednak zdążyła to zrobić, mężczyzna wciągnął ją, a potem Taryn na siodło, traktując je raczej jak tobołki niż jak dzieci. Vivienne usadził za sobą.

– Trzymajcie się – polecił.

Jude i jej siostry płakały przez całą drogę do Elysium.